

Teksty Drugie 1996, 1 , s. 167-171



Dialog czy katecheza

Mieczysław Inglot

Polemiki

Dialog czy katecheza

(O eseju Jerzego Jarzębskiego

Polonistyka — przepis na przetrwanie)

Z uwagą przeczytałem wypowiedź Jerzego Jarzębskiego na powyższy temat. Umieszczona jako wstęp do numeru zawierającego kilka referatów wygłoszonych na majowym, ogólnopolskim Zjeździe Naukowym Polonistów, podejmuje tematykę zasadniczą, związaną z regułami społecznej funkcji naszego środowiska, problematykę dla której zabrakło miejsca na spotkaniu programowanym przez język literaturoznawstwa, a nie w języku socjologii kultury. Przyszły autor monografii klerka, postawy bardzo istotnej dla powojennego oblicza literaturoznawstwa, winien ze szczególną uwagą obserwować lata 1956–1989. Polonistyka, do okresu październikowego przełomu brutalnie zmuszana do różnorodnych powinności społecznych, m. in. do pisania podręczników szkolnych, uzyskała wówczas względną swobodę wyboru. A tym samym szansę na odreagowanie okresu ideologicznej pańszczyzny. „Antyspołeczne” efekty tej zrozumiałej skądinąd reakcji, zostały spotęgowane przez wpływ dwóch istotnych czynników. Pierwszy z nich dotyczył sytuacji w ówczesnej metodologii badań literackich. W ramach metodologicznej zmiany warty — dochodzi do głosu strukturalizm, metodologia „wewnętrzna”, nakierowana na badanie estetycznej swoistości literackiego tekstu. Strukturalizm nie był jednak kierunkiem aprobowanym przez władzę. Nie udało się jej wprowadzić (mimo serii potępiających artykułów typu marksizm a strukturalizm) rozprawić z nową metodolo-

gią, ale jej zwolennicy, w samoobronie, jak słusznie podkreśla Jarzębski (s. 3), zostali zmuszeni wytwarzać kody zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych.

Proces reakcji na przymus socjalistycznych serwitutów stał się niewątpliwie jedną z przyczyn dystansu polonistycznych uczonych do szkoły i jej problemów. Owszem, włączali się czasem do dyskusji z okazji rozważań nad zmianami w kanonie, orędując za takim lub innym tekstem z odległej przeszłości, przy absolutnej znieczulicy na zjawisko naturalnego przyrostu lektur współczesnych, z natury rzeczy bardziej interesujących młodzież. Stąd też w pełni popieram i doceniam intencję Jerzego Jarzębskiego, gdy postuluje, aby uczona polonistyka odnalazła sens swoich poczynań po roku 1989, we współpracy z polonistyką szkolną.

Polonistyka ambitna — ta, która tworzyła niedawno bramy swej obłożonej twierdzy — ma dziś przed sobą zadanie karkołomnie trudne, choć znacznie mniej niż wprzód efektywne: musi wrócić do szkoły niosąc z sobą to wszystko, czego nauczyła się w swych ezoterycznych kręgach minionego półwiecza. [s.4]

Dopowiadając — musi wrócić nie do pisanych na zamówienie podręczników: zarówno tych nacechowanych ideologią, jak i tych, postulowanych przez współczesnych nam handlarzy książką — nastawionych na komiksowe gusty telewizyjnej gawiedzi. Wrócić do obywatelskiej tradycji troski o wspólną sprawę, jaka cechowała moich znakomitych wychowawców i nauczycieli: Juliusza Kleinera, Zenona Klemensiewicza czy Kazimierza Nitscha, którzy na uniwersyteckie katedry wnieśli — oparte na własnym, nauczycielskim doświadczeniu — zrozumienie dla społecznej roli szkoły. Wrócić w chwili szczególnego zagrożenia ambitnej lektury, spychanej na margines przez drapieżność audio-wizualnej kultury masowej — i w obliczu językowego ubóstwa młodzieży, podatnej tym samym szczególnie na propagandowe manipulacje politycznych i ekonomicznych demagogów.

Zawierający godne aprobaty przesłanie, tekst Jarzębskiego jest jednak zarazem znakomitym przykładem ograniczeń, jakie pozostawił po sobie akademicki izolacjonizm polonistyki. Pół biedy, że autor zapomniał o tym, co działo się na jego własnym podwórku, tzn. w „Tekstach” z roku 1972.¹ Jest to w końcu mankament usprawiedliwiony

1 Por. J. Sławiński *Zaszkożdzi niepolepszenie*, „Teksty” 1972 nr 6 oraz głosy w dyskusji, m. in. G. Wicharowej, mój tekst pt. *Antynomie dydaktyki czy Głos w dyskusji o polonistyce szkolnej* E. Marcinkowskiej.

eseistyczną formą wypowiedzi, nie zobowiązującej autora do omówienia dorobku poprzedników. Niepokoi natomiast w sposób zasadniczy przyjęta przez autora postawa wobec szkoły.

Jest to postawa inteligenta z epoki późnego Adama Asnyka wołającego „Trzeba naprzód iść... i świecić”. A na dodatek — niosącego owo światło do „zawianej chaty” szkolnego ciemnogrodu.

Szkolna polonistyka to dla Jarzębskiego „jakieś odpytywanie z fabuł powieści («ile garnców sadła wypił stary Maćko z Bogdańca, aby się od grotu wrażego wyleczyć?»), jakieś stopy zeszytów z klasówkami na temat «nieprzemijających wartości literatury»” (s. 1). Należy współczuć absolwentowi słynnego (niegdys) III LO im. Sobieskiego w Krakowie, gdzie swego czasu pobierali nauki moi rówieśnicy: Leszek Herdegen i Sławomir Mrozek. Na wyjątkowo kiepskiego polonistę trafił! Ale czy osobisty pech może być podstawą do uogólnienia? Kończąc niedawno biogram Juliusza Balickiego, nauczyciela VI Państwowego Gimnazjum we Lwowie i autora znanych przedwojennych czytanek *Mówią wieki*, oraz, pisanej wspólnie z A. Brücknerem i J. Kleinerem, *Historii literatury* dla ówczesnego liceum, natknąłem się na pełne wdzięczności listy ucznia tejże, lwowskiej szkoły, Artura Hutnikiewicza. Wybitny uczony, profesor UMK, któremu przesłałem tekst biogramu, w pełni potwierdził moją ocenę nauczycielskiego trudu Balickiego. I stwierdził, że ten nauczyciel–polonista wywarł decydujący wpływ na wybór jego własnej drogi życiowej. W mojej biografii podobną rolę odegrał prof. Jan Nowakowski z IV LO im. H. Sienkiewicza w Krakowie. Jego mistrzowskie lekcje, podsuwane przez niego ambitne lektury (m. in. pamiętne dla mnie *Pogranicze powieści* K. Wyki) sprawiły, że po ukończeniu liceum o profilu matematyczno–fizycznym, wbrew protestom rodziców — wybrałem polonistykę właśnie.

Niepokoi szczególnie podsumowanie wypowiedzi Jarzębskiego. Mówiąc o misji, jaką wobec szkoły spełniać ma dzisiaj „polonistyka uczona”, poucza nie tylko przyszłych misjonarzy, ale ich potencjalnych katechumenów — nauczycieli, tkwiących nadal w pogańskim maceczniku. Mówiąc o czekającym ich chrzcie, pisze:

Muszą (i to będzie trudniejsze) znieść taką zmianę orientacji również poloniści — nauczyciele młodzieży. Jeśli tego nie zrobią — pozostanie liczyć garnce sadła, co jest zajęciem równie mitym, jak liczenie owiec — i do tych samych skutków prowadzi. [s. 4]

Tego typu konstatacja świadczy, że Jerzy Jarzębski usadowił się na ostatnim pięttrze polonistycznej wieży z kości słoniowej. I z jej podda-

sza, niedowidząc, rysował taki właśnie obraz poziomu współczesnej polonistyki szkolnej.

A przecież, na tym samym Zjeździe Naukowym Polonistów, pojawiła się sekcja dydaktyczna, gdzie prezentowano dorobek bogatej w osiągnięcia dyscypliny, ściśle ze szkołą współpracującej — dydaktyki języka i literatury polskiej. Wygłaszane na tej sekcji referaty, zostały z uznaniem odnotowane przez pozjazdową publicystykę.² Tak się również złożyło, iż rok 1995 stał się zarazem rocznicą 25-lecia Olimpiady Języka i Literatury Polskiej. Uczestnicy tego wielkiego ruchu: członkowie Komitetu Głównego i Komitetów Okręgowych: metodycy, nauczyciele, uczeni akademicy i laureaci (dawni i tegoroczni) spotkali się w przeddzień Zjazdu i uczestniczyli w jego obradach. Przypominając, że setki laureatów i tysiące uczestników ruchu — to głównie owoc twórczej i nowatorskiej pracy nauczycieli szkolnych.

Nie lada zaśmy trzeba, aby ich osiągnięcia sprowadzać do poziomu metodyki spod znaku Franciszka Próchnickiego, galicyjskiego belfra, autora pytań o lekturę z gatunku tych, które przytacza Jarzębski! Współczesny nauczyciel, to w znakomitej większości czytelnik metodycznych lektur, trzymający — tym samym rękę na pulsie nowości. Takich lektur, jak słynna już *Poetyka stosowana* Bożeny Chrzęstowskiej i Seweryny Wysłouch, przed 20 laty wprowadzających do szkoły strukturalizm. To uczestnik seminariów prowadzonych przez pracowników polonistycznych Zakładów Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych, instytucji, brutalnie zlikwidowanej w 1990 roku, ale działającej przez niemal 17 lat. To z inspiracji wrocławskich pracowników tej placówki powstała np. seria *Zadania do lektury* pod red. T. Patrzałka i G. Wichary, oraz wydawany w podziemiu w okresie stanu wojennego *Glosariusz*, redagowany przez T. Patrzałka. We Wrocławiu też powstała książka *Lekcja czytania*, pod red. W. Dynaka i A. Labudy, znanych niegdyś autorów dawnych „Tekstów”, piszących tam również o lekturze i szkole. Nauczyciele sięgają dziś bezpośrednio po najnowsze, polonistyczne monografie i rola wspomnianych powyżej prac sprowadza się do wskazówek: jak przekładać wiedzę literaturoznawczą na praktykę szkolną? To nauczyciele nowatorzy, piszący dzisiaj m. in. w trzech polonistycznych periodykach: „Języku Polskim w Szkole Średniej”, „Polonistyce” oraz w „Warsztatach Polonistycznych”.

Nie jest zatem szkolna polonistyka kopcuszkciem, a polonistyce aka-

2 Por. m. in. artykuł Jerzego Sosnowskiego *Wychowawczyni pokoleń?*, „Gazeta Wyborcza” 1995 nr 123.

demickiej daleko do księcia z bajki. Trzeba jednak na pewno rozbudować istniejące wprawdzie już dotąd, ale wciąż niedostateczne związki między tymi, „osobnymi” dotąd, stronami polonistycznego środowiska. Musi to być jednak związek partnerskiego dialogu, a nie kontakty nauczających z pouczanymi. Dialogu potrzebnego obu stronom.

Mieczysław Inglot

Awantura o garnce sadła

W początkach mego prywatnego romansu z polonistyką jakoś sobie tę dyscyplinę, nieudolnie, wyobrażałem, na co wpływ miało, rzecz jasna, szkolne nauczanie, a w nim sławetne (autentyczne zresztą) pytanie o ilość garnców sadła, którymi leczył się w *Krzyżakach* Maćko z Bogdańca. W swoim felietonie wstępnym z numeru „Tekstów”, dedykowanego Zjazdowi Polonistów, piszę głównie o tym, jak zmieniałem zdanie — podczas gdy prof. Inglot z uporem przypisuje mi nadal świadomość i poglądy szkolarza, który realizuje po latach skrytą chętkę „dołożenia” swoim nauczycielom z wyżyn akademickiej „wieży z kości słoniowej”. Co więcej, ja, jako pozytywista i uczeń Asnyka, nawoływać mam z owej wieży szkolnych polonistów, aby się uczyli (ode mnie??) tego, co przecież od dawna umieją, tzn. współczesnych języków opisu dzieła literackiego. Prof. Inglot o akademickiej polonistyce wypowiada się w manierze dosyć niejasnej. Niby chwali jej ideologiczną niepodległość, ale przy okazji pomawia o odwrócenie się od społecznych potrzeb. Że to niby w czasach stalinowskich uczeni pisali podręczniki szkolne, a potem już nie? Raz, że to nieprawda, a dwa — że „ezoterya” strukturalistyczna czy inna nie była wszak jedynym językiem, jakim się poloniści z uniwersytetów posługiwali. Z ochotą zresztą mówiliby bardziej przystępnie, gdyby im na to zezwolono — co zresztą udowodnili natychmiast z chwilą, gdy pojawiły się wydawnictwa podziemne; z równą ochotą też przypuszczali do konfidencji każdego, kto tylko chciał, a bodaj szczególnie szkolnych pedagogów. Na miłość boską, o co tu w ogóle chodzi? Przyzwyczailem się już, kibicując różnym dyskusjom, że adwersarza polemiki trzeba sobie na wstępie jakoś „ustawić” do ciosu, przyprowadzić mu gębę, aby potem tym łatwiej roz-